ROZMAITOŚCI.

Dnia 23 maja, Ner 21. roku 1846.

Złotem jest, co złota warto.

Roku 1515, w samą niedzielę wielkonocną, liczne tłumy ludu cisnęły się około kościoła Anunciada w Sewili. Ze wszystkich wieżyc miasta rozlegał się wesoły odgłos dzwonów, a po ulicach przeciągały kupy świetnie wystrojonéj szlachty i mieszczan, wszyscy nabożeństwem zajęci. Wszakże oprócz dla nabożeństwa, pozostało jeszcze troche serca i dla miłostek, a zpod każdéj wiatrem odchylonéj zasłony damskiéj, wybłyskiwały strzeliste spojrzenia.

W chwili najpobożniejszego gwaru w pomienionym kościele, jaśniejącym tysięcami świateł, przepełnionym wonią kadzideł i harmoniją uroczystych śpiewów, zdarzyło się, iż w przedsionku kościelnym jakiś młody kawaler z jakąś młodą damą na wychodném się spotkali.

Kawaler miał hardą minę, kapelusz na uchu, płaszcz na jedném ramieniu, lewa ręka spoczywała na rękojęci oręża, prawą muskał sobie wąs zawiesisty; zresztą był on sam jeden, bez służącego.

Za młodą damą postępowała stara jak świat duenna, szeptająca pacierze nad otwartą księgą. Postrzegłszy kawalera, chciała panna coprędzej odchyloną wiatrem zasłonę, na lica zasunąć, lecz była tak niezręczną, iż zamiast zasłonienia, owszem całą prześliczną twarz odkryła.

Kawaler stanął, zdjął kapelusz o długiém, aż po ziemi wlokącém się piórze, skłonił się nizko i rzekł:

»Gdybym był królem, pani zostałabyś królową.”

Panna zczerwieniła się jak hesperyjskie jabłko, i poprawiła szybko zasłonę; lecz i to poruszenie nie było dość zręczném, czy nie dość prędkiém, aby nie dozwolić kawalerowi dojrzéć jéj pięknych oczu, które jak brylanty świeciły.

Wtém stara duenna, odwróciwszy oczy od książki, i ujrzawszy tak blisko uśmiéchającego się kawalera, przestraszona tym widokiem, porwała swoję towarzyszkę coprędzéj za rękę, i przemocą ją z sobą na ulicę uprowadziła.

»O, święty Jakóbie!” zawołała duenna. »Czyż już nawet w dzień biały od napastników nie będzie miał człowiek spokoju! Gdybym ja alkadą-majorem była, kazałabym tych wszystkich wartogłowów na tamten świat wysłać!”

Młoda Andaluzyjanka pomyślała sobie, iżby szkoda było tak grzecznego kawalera na tamten świat wyprawić; lecz postrzegłszy, iż on zdala za niemi idzie, znowu się uspokoiła.

Co do naszego wartogłowa, jak go duenna nazwała, ten był zupełnie zadowolonym, mogąc miłośném okiem przypatrywać się kształtnéj kibici nieznajoméj, jakoteż jéj lekkiemu a oraz spaniałemu krokowi, który jéj dumnéj infantki pozór nadawał, — a gdy wreszcie na skręcie ulicy, jéj mile uśmiéchającą się twarzyczkę ujrzał, zdało mu się, iż jest najszczęśliwszym ze wszystkich Hiszpanów.

W kilka minut po wyjściu z kościoła Anunciada weszła duenna z swoją towarzyszką do bardzo ładnego domu, leżącego na jedném z najwytworniejszych przedmieść sewilskich. Kawaler przyspieszył kroku, ale nim jeszcze na miejsce zdążył, już duenna z trzaskiem drzwi za sobą zamknęła.

»Przeklęta czarownica!...” zawołał kawaler rozgniewany, uderzywszy ze złości nogą o ziemię. Wszakże gniew jego ustąpił wkrótce rozkosznemu wzruszeniu, gdyż oto wysunęła się drobna rączka przez zazdrostki u okna, a w rączce zieleniła się gałązka jasminu.

Rozkochany kawaler oddalił się spieszno ode drzwi i podstąpił pod okno. Kwiatek zleciał, a rączka zniknęła.

Nasz nieznajomy był prawdziwym Hiszpanem, i znając mowę kwiatów, którą Hiszpani po Maurach odziedziczyli, wiedział dobrze, co wonny jasmin oznacza. Powiódł kwiatkiem do ust i odszedł. Nigdy jeszcze nie był krok jego okazalszym, nigdy jeszcze oczy jego nie pałały ognistszym wzrokiem. Miał wielką ochotę zatknąć sobie swój kwiatek na kapelusz, a gdyby mu w téj chwili dostojny Ximenes de Cimeros chciał był dać stopień wielkiego mistrza zakonu Kalatrava, nie ma najmniejszéj wątpliwości, iż byłby bez namysłu ofiarę czcigodnego biskupa odrzucił.

Przybywszy na róg ulicy, zwolnił kroku, a wre-

szcie stanął. Zwrócony ku tajemniczéj zazdrostce, zadumał się nad czémś głęboko, a potém zdało się, jakby mu jakaś myśl nagła do głowa przyszła: zwrócił się, i zmierzał prosto ku drzwiom, które dopiéroco tak nieprzyzwoicie przed nim zamknięto.

Nasunął kapelusz, poprawił płaszcz na sobie, zatknął kwiatek w zanadrze, i uchwyciwszy stukadło u drzwi, mocno zakołatał.

Duenna otworzyła.

»Słodki Jezu!« krzyknęła ze strachu na widok niezbytego kawalera i chciała spieszno drzwi zamknąć — ale już było za późno. Nieznajomy wszedł do środka.

„Gdzie pan?" zapytał.

Wzrok młodego człowieka miał coś tak rozkazującego w sobie, iż stara matrona wstydliwie oczy w dół spuściła.

»To jakiś czart nie człowiek!« pomyślała sobie i wyjęła różaniec zza pasa.

„Gdzie pan?" powtórzył nieznajomy jeszcze głośniéj.

»Jest na dole;« odrzekła duenna z trwogą, i zaprowadziła go do nizkiéj komnaty, obitéj kordubanem, gdzie dwaj podeszli jegomościowie, jeden bardzo opasły, a drugi, z ubioru kanonik, w karty grali.

W kącie, pod oknem, wychodzącém na ogród, siedziała jakaś młoda dama, w któréj, lubo tyłem ku drzwiom zwróconą była, nasz domyślny kawaler natychmiast swoję piękną nieznajomą rozeznał.

Opasły towarzysz kanonika spojrzał niechętnie ku drzwiom, i zmieszany widokiem duenny, prowadzącéj jakiegoś gościa, złożył karty na stronę, i ozwał się w gniewie:

„To sam szatan z téj pani Inkarnacyi!" Poczém powściągnął się na cześć wielkonocnéj niedzieli i dodał ze skruchą: „Jeźli nie grzech jest, mówić o szatanie przy takiém wielkiém święcie.... Ale miałem pamfila, asa i kralkę... No, czegoż pani Inkarnacyja chcesz?"

„Jakiś nieznajomy życzy sobie mówić z jegomością."

„To niech mówi!" odpowiedział pan domu kwaśno, zwracając się do przybysza.

„Zanim pana uwiadomię o powodzie moich odwidzin,"— rzekł kawaler — „pozwól mi, niech się zapytam, z kim mam honor mówić?"

„Jako!" zawołał kanonik. „Jestże kto w Sewili, coby nie znał szanownego Don Giacomo Ignace Pablo de Corrisco y Velupsa y Lebarron, bogatego fabrykanta bławatów i sierzanta przy św. inkwizycyi?"

»Dziękuje, przewielebny ojcze;« — odrzekł kawaler, a skłoniwszy się zlekka kupcowi, rzekł: „Cieszę się mocno, signor Don Giacomo Ignace Pablo de Corrisco y Velupsa y Lebarron, iż mam zaszczyt znajdować się w domu tak zacnego obywatela. Tożsamo właśnie ośmiela mię do uczynienia mu zapytania, czybyś nie chciał przyjąć mię za zięcia, dając mi rękę swojéj panny córki?"

Na tak niespodziane oświadczenie nastąpiła chwila powszechnego zdziwienia. Zażądana w małżeństwo dziewica, która podczas przemowy kawalera nieco ku niemu była się obróciła, spłonęła żywym rumieńcem i oczy w dół spuściła. Duenna przeciwnie wzniosła wzrok w niebo i zaklęła się na św. Antoniego, iż się jéj nigdy w życiu coś podobnego słyszéć nie zdarzyło; kanonik złożył pobożnie ręce, i spojrzał z osłupieniem na nieznajomego; kupiec nadął się ile mógł, aby się okazalszym uczynić, ale nie wiedział co odpowiedziéć. Nigdy bowiem jeszcze o tak lekkomyślném przemówieniu się w tak ważnéj sprawie nie słyszał.

„Czyżbyś może signor nie był łaskaw," — ozwał się kupiec nareszcie — »powiedziéć mi, jak się nazywasz?"

„Żądanie pana jest tak słuszne," — odpowiedział zapytany — »iż nie widzę przyczyny, dla czegobym mu zadość nie miał uczynić. Slyszałem często od mojéj matki, iż mi w kolebce imię Ferdynand na chrzcie świętym nadano."

„Don Ferdynand?"

„Ferdynand, czy Don Ferdynand, jak się panu podoba; jednakże za to „Don" nie śmiém ręczyć."

Na te słowa Don Giacomo Ignace i t. d. zmarszczył brwi z należytą godnością, a córka jego najprzód się skrzywiła, a potém wzgardliwie się uśmiéchnęła.

„Przecież, signor Ferdynand," — rzekł fabrykant bławatów — „skoro się zgłaszasz o rękę mojéj córki, musisz niezawodnie coś posiadać, np. jaki zamek w Andaluzyi, jakieś magazyny handlowe w Kadyksie, lub może masz arcybiskupa w swoim rodzie?"

»Jeźli mój ojciec kiedy jaki zamek posiadał, to pewnie Maurowie go spalili; nigdy téż nie słyszałem, aby który z magazynów w Kadyksie do mnie należał; również wątpliwą jest rzeczą, czy arcybiskupa mam w rodzie»

Na te słowa podwoiło się i zmarszczenie czcigodnego fabrykanta i skrzywienie się jego na łobnéj córki, która widocznie minę obrażonéj godności przybrała; oprócz tego Donna Inkarnacyja przeżegnała się znakiem krzyża świętego, a kanonik wziął na rozwagę, czy signor Ferdynand nie jest przypadkiem skrytym kacerzem mauryjskim.

„To dobrze!" zawołał Don Giacomo. „Ale cóż téż pan masz przecież?"

„Mam ten oręż!" odpowiedział nieznajomy, uderzając po szpadzie.

W téj chwili wszedł do pokoju jakiś młody mężczyzna. Miał on wprawdzie bogaty, ale niestosownie dobrany ubior, a po łytkach, okrytych eleganckiemi bucikami z marokinu, bił go długi, niezgrabnie wiszący pałasz w złoconéj pochwie.

Don Giacomo wyszedł z radością naprzeciw niemu i serdecznie go powitał.

„Panie kawalerze, który jak sam mówisz, nic nie masz,"— rzekł kupiec, zwrócony do Ferdynanda— „oto jest mój przyszły zięć, Don Gaspard Pedro Fontaro y Mendez y Guyaver. I ten ma także szpadę, ale pochwa przy niéj ze złota."

„Złotem jest, co złota warto!" zawołał głośno Ferdynand, dobywając oręża. „Widzę, iż się zawiodłem," — dodał z utkwionym w dziewicę wzrokiem, na który ona niechętném odwróceniem się odpowiedziała — „ale przysięgam na Boga, że lubo pochwa przy moim orężu jest tylko ze stali, przecież ostrze tego oręża łatwo skaléczyć może, i nie radzę signorowi Don Gaspard Pedro Fontaro y Mendez y Guyaver spotkać się ze mną na ulicy, jeżli nie chce, aby jego piękna aksamitna suknia przypadkiem dziury nie dostała."

Po wyrzeczeniu tych słów, zacisnął sobie Ferdynand kapelusz na głowę, owinął się płaszczem majestatycznie i wyszedł, nim jeszcze kto z obecnych odpowiedzieć mu zdołał.

Tegoż samego dnia, niedługo przed zachodem słońca, odwieczny nieprzyjaciel rodu ludzkiego, szatan, sprawił to swoją piekielną sztuką, iż Don Gaspard i nasz Ferdynand na ulicy się zeszli. Niefortunny konkurent o rękę panny Hijacynty, córki kupca, oburzony wzgardą, jaką jego kochanka w obec ojca mu okazała, nie był w stanie się wstrzymać, aby będąc tak blizko swego szczęśliwszego rywala, nie szukał sobie z nim zaczepki, i rzeczywiście téż tak mocno w tym celu łokciem go popchnął, iż Don Gaspard zachwiał się jak pijany i omałoco że nie upadł.

„Signor Fontaro!" krzyknął Ferdynand. „Paneś mię potrącił; jeżli mię obrazić chciałeś, musisz mi z tego zdać sprawę."

„Ja pana potrąciłem?" ozwał się Don Gaspard, znany jako najspokojniejszy człowiek w całéj Sewili. „Wszakto ja potrącony!"

„Niech i tak będzie;"— rzekł Ferdynand— „a więc dobrze. Nie róbmy wiele zachodu. Służę panu."

Na głos Ferdynanda, dwóch czy trzech przechodzących zatrzymało się na ulicy. Ferdinand skinął na jednego z nich ręką i rzekł do niego: „Signor, bądź łaskaw, stanąć mi za sekundanta; oto ten młody człowiek wyzwał mię na pojedynek, i chce mię natychmiast za miasto wyprowadzić."

„Ależ...." przejął Gaspard.

„Służę panu!" odpowiedział wezwany. „Nie lękaj się pan wydać mi się natrętnym; sąto przysługi, których żaden wojskowy nie odmówi."

„Pójdźmy więc!" zakończył Ferdynand.

Nie minął kwadrans, a nasi zapaśnicy zatrzymali się w pewném zamiejskiém ustroniu, i dobyli oręży.

Gdy noc zapadła, przyniesiono Don Gasparda w lektyce przed dóm jego przyszłego teścia. Szczęśliwy narzeczony panny Hijacynty otrzymał od Ferdynanda dość głębokie pchnięcie w ziobra.

Duenna, słysząc o tem, była pewną, iż to sam szatan w własnéj osobie po ulicach sewilskich się przechodził i najprzód na nią i Hijacyntę sidła zastawiał, a potém na biédnym Don Gaspardzie złość swoję wywarł.

Co do Ferdynanda, ten jeszcze tego samego wieczora do Kadyksu odjechał, dokąd ów awanturnik, który za sekundanta mu służył, ucieszony widokiem jego odwagi, prawie poniewolnie go uwiózł, wystawiając mu niebezpieczeństwo dalszego pobytu w Sewili. Nazajutrz wsiedli obaj na brygantynę mającą odpłynąć do Hispanioli, i udali się do Ameryki.

Donna Hijacynta poszła za mąż za Don Gasparda Pedro Fontaro y Mendez y Guyawer, skoro tylko tenże wyzdrowiał. Niekiedy, patrząc na twarz wcale nie piękną swego małżonka, wspominała ona sobie Ferdynanda, którego szlachetne rysy ujmowały ją wyrazem męztwa i spaniałego charakteru; lecz duenna nie omieszkiwała nigdy czynić nato uwagę, iż podobne myśli, są natchnieniem szatańskiém, i że Ferdinand na każdy wypadek, w bardzo blizkim związku z lucyperem zostaje.

„Co za szkoda!" rzekła zcicha Donna Hijacynta. „Byłto ładny kawaler!"

* * *

W dziesięć lat po tém zdarzeniu, powstało dnia jednego wielkie zbiegowisko na ulicach miasta Sewili; tłumy ciekawego ludu cisnęły się do portu, kupcy opuszczali sklepy, rzemieślnicy pracownie, żołniérze koszary, mnisi cele klasztorne, a nawet damy zeszły z balkonu i szły ciekawie pieszo do portu.

„Cóżto ma znaczyć?" zapytał stary Giacomo swojego zięcia, który właśnie bez tchu nadbieżał.

„Na wszystkich świętych! Nie wiém... lecz wszyscy mówią, że w porcie zawinął jakiś człowiek, który naszemu cesarzowi więcéj państw podbił, niż przodkowie jego miast mu pozostawili."

„Jakże się ten wielki człowiek nazywa?"

„Ferdynand Kortez."

Po niedługim czasie, Donna Hijacynta, stojąca z ojcem przed domem, ujrzała jakiegoś przepysznie ubranego mężczyznę na ognistym koniu, nadjeżdżającego pośród niezliczonych tłumów radującéj się i wykrzykującéj ludności. Kobiety powiewały chustkami; wszyscy pochłaniali wzrokiem zdobywcę Meksyku. Obaczywszy go, wzdrygnęła się Hijacynta.

„Ojcze, patrzno!" zawołała żywo.

„Ferdynand!" odpowiedział poczciwy kupiec i zdjął z pokorą kapelusz.

Ferdynand Kortez postrzegł ich; lekki uśmiech zaigrał na jego ustach. Jedną ręką dobył złotego oręża, drugą uderzył po pochwie, która zdawała

*

się być z samych dyjamentów, takim bowiem blaskiem świeciła.

„Ach ojcze, ojcze!” szepnęła Donna Hijacynta do siebie. „Wszystko jest złotem, co złota warto.”

Francuzki okręt „Wrocław” w bitwie pod Nawarynem.

(Z Eugen. Sue.)

Dzień począł szarzéć; po niebieskawych falach śródziemnego morza zalśniły pierwsze promienie rannego słońca, a przez mgłę przezroczystą czerniały zdala, niebotyczne skały Sfakteryi.

Wstań biedny majtku, wstań! Przeciągnij się po śnie krótkim, złóż matę, na któréj spałeś, i spiesz dokąd cię łoskot bębna wzywa! — Już zaciąga straż okrętowa; biją do apelu; już słychać, jak szorstkie mezkie głosy koleją wołane, na wezwanie odpowiadają, a każdy z odpowiadających patrzy żałośnie na towarzysza, i myśli sobie: Mój Boże! dziś wieczór, ten mężny, ścisły szereg, będzie o wiele rzedszym; nie jeden z tych śmiałych teraz głosów, zamieni się w półzamarłe chérczenie; te śniade, ogorzałe twarze, zbledną na wieki, lub krwią się obleją — i mnie samego może ten sam los czeka! — Niech się dzieje wola boża!...

O dziesiątéj godzinie zrana dano nam rozkaz być na swoich stanowiskach Zaczęto broń na pokład wynosić, otworzono prochownią. Zeszedłem do piérwszéj bateryi o 36 działach. Jakże przepyszny miałem tam widok! Światło dzienne, wpadające jedynie przez otwory strzelne, oświecało wszystkie przedmioty ćmawym, tajemniczym odblaskiem, który po czarnych, gładkich przemykając działach, po ich czysto stalowych łamiąc się pańwiach, migotnie odstrzeliwał od pik i pałaszów, po ścianach zawieszonych. Majtkowie, w płóciennych szérokich pantalonach, czerwonym pasem około białéj koszuli obwiązanych, stali w zamyśloném milczeniu przy armatach. Każdy puszkarz, wsparty o zadnią część działa, trzymał w ręku długi powróz, za którego pociągnięciem kurek armatni spuszczany bywa; gdyż na okręcie, jak u strzelby ręcznéj, za pomocą kurka i pańwi, dają ognia działa.

W głębi, najstarszy porucznik okrętowy wydawał rozkazy chorążemu i kadetom; później nadszedł Benard, starszy bombardyjer; oglądnął się wokoło i zaczął się rozmawiać, nie z ludźmi, lecz z armatami, bądźto dodając im odwagi, bądźto im grożąc. Miał on już taki zwyczaj.

Po długim i uważnym przeglądzie, przystąpił Benard do piątego działa, od strony stéru stojącego; chociaż tego u któregokolwiek z poprzednich dział nie uczynił, obejrzał tu bacznie ławetę i rzekł do młodego, silnego wzrostu puszkarza, który tam stał, niedbale wsparty o działo: „Tyś tu puszkarzem, Guillo?”

„Ja, panie bombardyjerze.”

„No, znasz już swoję armatę.... wiesz, że to wściekła jucha! Niesie ona wprawdzie o 10 sążni daléj niż inne, lecz zato ma brzydki narów, że daleko w tył trąca. Strzeż więc swojéj łapy, mówię ci!”

„Dziękuję, panie bombardyjerze.”

„No, dziatki, miejcie się na baczności. Wy fryce będziecie miéć piękną sposobność nauki. Wielki to dzień dla was! Tylko się krwi nie bójcie, bo pamiętajcie, że to dobry znak, kiedy krew z rany płynie.

W téj chwili nadszedł sternik Poiret; twarz jego jaśniała żywą radością; prowadził swego syna, Karolka za rękę. „Dzień dobry, majtku staruchu!” rzekł do Benarda, klepiąc go swoim rozsuniętym dalowidem po ramieniu. „Rozweseliłeś się dzisiaj jak za dobrych czasów! Aha! Już ci proch pod nosem pachnie! Ale nie ciesz się stary, nie ożenisz ty się z moją żoną, nie! Jeszcze ja mego Karolka dorosłym chłopcem obaczę!”

„Cóż ty chcesz przezto powiedzieć?”

„Słuchaj Benardzie! Dziś rano przychodzę do kapitana fregaty i mówię: Panie kapitanie, wiesz dobrze że nie jestem tchórzem, ale dziś mi pozwól, abym zamiast u głównego stéru na pokładzie, czynił służbę przy drugim stérze. — A kapitan nato mówi: Takiemu staruchowi jak ty, Poiret, nic odmówić nie można; rób jak ci się podoba. — Otóż widzisz bracie majtku, że jestem dziś ostrożniejszym niż zwykle; gdybym został na swojém miejscu, tamby mię kula niezawodnie znalazła, ale tak nie znajdzie mię ona! nie znajdzie! figę, ale nie mnie tam znajdzie! Drwię ja sobie z niéj!” a to mówiąc, uścisnął serdecznie swego Karolka.

„Spuść się tylko nato,” — rzekł Benard sam do siebie — „jakby ten tam w górze, który ludzkie losy stanowi, i kule nosi, dał się oszukać! — Ale usciskajże i mnie przecież!” dodał głośno.

„Jeszcze czego! Wystroiliśmy się obydwaj; szkoda sukni. Później; mamy czas nato!...”

„Później..” pomyślał Benard smutno; podając rękę sternikowi. „Prawda, mamy czas na to!”

Ale Poiret rzucił się swemu staremu przyjacielowi na szyję i uścisnął go silniéj niż zwykle, a potém rozeszli się. Benard spojrzawszy smutno za Poiretem, schodzącym do niższéj bateryi, rzekł: „Nie daj Boże, aby te płoche słowa nie pozbawiły mię przyjaciela! Do milijon bomb! Żyj sobie długo! — Bierz kaci wszystko! Żyj sobie stary, dopóki zechcesz. Wolę wziąć dziesięć żon innych, niż ciebie jednego utracić!”

Tu rozległ się głuchy łoskot bębnów, na znak, iż komendant bateryje przegląda. Niebawem zeszedł on i do naszéj bateryi, a obejrzawszy działa i ludzi,

wrócił po krótkiém upomnieniu do wytrwałości i męztwa, nazad na pokład. Tak nadeszło południe. Obrócono okręt, aby ominąć przylądek, który zasłaniał warownie Nawarynu, i poza który było wnijście do portu.

Wiedzieliśmy co to znaczy! A gdy wreszcie i „Azyja" z angielską admiralską banderą, i »Genua" i „Albion" ku nam się przybliżyły, nie pozostało już najmniejszéj wątpliwości o stanowczém dnia tego przeznaczeniu. Na samym końcu nadpłynęła nasza »Syrena", strojna w mnogie świetne, różnobarwne bandery, idąca jakby w taniec po igrających falach morza.

Ten widok zachwycił i zelektryzował naszych majtków, którzy ciekawie się jéj przypatrując, ponad działa przez strzelnice się wygięli.

„Jak ona tam pysznie płynie!" ozwał się jeden.

„Ba! wié ona, chłopcy, kogo niesie! jak koń, co zna swego jeźdźca."

„Ale, panie bombardyjerze, czemużto Anglicy nam przód wzięli?" zapytał drugi.

„Aby wprzód powąchać dział Ibrahima. Nic to, chłopcy! Kiedy przyjdzie do rzeczy, już my się z nimi zrownamy. Nasz admirał umié grać armatami; zagra on pięknego tańca Turkom; nie troszczcie się oto."

Tu dał się słyszéć odęty głos ogromnéj tuby, przez którą rozkazy z pokładu admirała aż do najniższych baterYj okrętów dochodziły, i te nam zabrzmiały słowa: „Puszkarze do armat! Nie strzélać wprzód, aż póki rozkaz dany nie będzie."

Poruczniki i kadeci powtórzyli komendę. W téj chwili opłyniono przylądek, i można było już widzieć miasto z amfiteatralnie wznoszącémi się warowniami, a u wybrzeża, turecko-egipską eskadrę, ustawioną w podkowę, mającą po prawéj stronie trzy okręty linijowe, w centrum 20 fregat o 60 działach, a po lewéj stronie kilka innych pomniejszych fregat, korwet i brygów, które przez krzyżowy ogień, okręty piérwszéj linii wspiérać mogły.

Nigdy jeszcze nie widziano tak wielkiéj liczby okrętów wojennych w tak małą przestrzeń ściśniętéj. Staliśmy w najgłębszém milczeniu, przypatrując się angielskim okrętom, które długim rzędem, ledwie o strzał pistoletowy od siebie oddalone, przed flotą egipską kotwicę zarzuciły.

U wnijścia do portu, po lewéj stronie, było kilka mniejszych nieprzyjacielskich statków, a komendant jednéj z angielskich galonet, wysłał z 5 albo 6 statków, aby je zabrać; gdyż myślał, że to są łodzie podpalne. Egipcyjanie dali ognia do statków angielskich, i w téjże saméj chwili admirał Rigny rozpoczął bitwę rozkazem do dania ognia z naszéj strony. Za jego przykładem poszli angielski i rosyjski admirałowie, i zawrzała powszechna bitwa. Po dziesięciu minutach ustał wiatr zupełnie.

Wokoło okrętu »Wrocław", który jeszcze z ostatniego wiatru korzystał, zaległa chmura gęstego, czarnego dymu, który tylko niekiedy pojedyncze, czerwoniawe łuny ogniowe przelotnie rozświecały. Nareszcie stanęliśmy w bojowéj linii, naprzeciw jakiegoś tureckiego okrętu, który angielskiemu admiralskiemu okrętowi srodze dopiekał. Ogień działowy był tak mocny, iż ciemne komory armat naszego okrętu, jasno oświécone były. Majtkowie stali ponuro, cicho i spokojnie, tylko kilku młodszych pobladły lica! Owa ogromna tuba zabrzmiała powtórnie i usłyszeliśmy: „Prawa strona! Ognia!" — Zaledwie oficerowie prawéj strony tę komendę powtórzyli, już wszystkie działa, śród okrzyku: „Niech żyje król!" zagrzmiały przeciw okrętowi tureckiemu.

»Brawo chłopcy!" zawołał Benard, który bacznie uważał skutek wystrzałów. „Jeszcze raz tak wymierzcie, a czerwona bandera przyzna, że nasz proch nie źle smakuje."

„Baczność!« zawołano na pokładzie, i widać było jak duży kosz w dół okrętu spuszczano. „Ciężko raniony! — Lekko spuszczać linę!"

Jakoż rzeczywiście spuszczono w koszu, nakształt krzesła poręczowego na linach, jakiegoś krwią zbroczonego człowieka, który przybywszy w pobliże młodego, kule do armaty podającego chłopca, wyjąknął rozdzierającym głosem: „O, mój Karolku!.." Byłto stary Poiret, który po raz ostatni z synem się żegnał. Wnet dano ognia po raz drugi; cały spód okrętu napełnił się dymem, a wraz z hukiem działobicia, rozlegał się krzyk komendy oficerów i niemniéj donośny krzyk puszkarzy i chłopców podających kule do armat.

Coraz wściekléj rozsrażała się bitwa; ledwie starczyło kosza do spuszczania ranionych, których jęki w najgłębszéj części okrętu zamiérały. Naraz coś zasyczało okropnie między nami, i naraz dwa głośne strzały wybuchły. Byłato kula łańcuchowa, która wleciawszy przez jednę z strzelnic, i odbiwszy się od dwóch armat, jednego z naszych na śmierć zabiła, dwóch ciężko skaléczyła, a wreszcie w ścianie uwiązła. „Weźcie precz!" zawołał Benard, wskazując na trupa. »To niedobre myśli sprawia."

Nagle dał się słyszéć jakiś krzyk przeraźliwy koło ósmego działa.

„Popatrz-no Benard, cóż tam się stało?" rzekł oficer, który oziębłe poruszeniem szpady, właśnie „Ognia!" zakomenderował.

Benard pobiegł na miejsce i postrzegł, że jakiemuś młodemu puszkarzowi rękę przy nabijaniu działa oderwało. »Któżto ten niezgrabny!" ofuknął Benard.

„To Melon" — odpowiedział jeden z towarzyszów — „zapomniał rękę na armacie i opuścił stępel do nabijania."

Biédny rekrut jęczał tak przeraźliwie, iż Benard się rozgniewał, i surowo nań krzyknął: „Ruszaj!

każ się owiązać! Jeżeliś sam się dość najadł, nie psujże drugim apetytu. Żwawo chłopcy! Każda kula raz tylko przylatuje.»

„Dobrze pan bombardyjer mówi;»— rzekł jeden z puszkarzów— „dajcie mnie, ja za niego nabiję!» Lecz ledwie wziął się do nabijania, już mu kartacz prawe ramię zgruchotał.

„To dziwna!» ozwał się Benard. „No, idź, idź mój kochany, i każ się owiązać!» Poczém sam stanął na opróżnionem miejscu.

W tej chwili, jedna z fregat tureckich, do któréj właśnie nasz „Wrocław» ognia dawał, zerwała kotwicę i nadpłynęła lotem ku naszemu okrętowi, aby go zahaczyć. Mimo niebieskich obłoków prochu można było na niej rozeznać półnagie, sztyletami i toporami uzbrojone postacie Murzynów i Arabów, tudzież jakiegoś młodego małego, niebiesko ubranego oficera egipskiego, którego rozwiązany turban wkoło głowy powiewał, a który prawą ręką na główny maszt nasz wskazywać się zdawał. Gdy już Turcy swoję fregatę do naszego okrętu przeczepiać mieli, uprzedziliśmy ich dobrze wymierzonym ogniem ze wszystkich armat. Rozległ się okropny krzyk, który nawet samą wrzawę bojową na chwilę przygłuszył, a po rozstąpieniu się dymu, widać było z fregaty tureckiej tylko same pływające po morzu szczęty, a po między niemi wielką liczbę Murzynów i Arabów, którzy na brzeg wydostać się usiłowali. Wznieśliśmy powszechny okrzyk radości, który jednak niebawem umilkł, gdyśmy się dowiedzieli, że nasz komendant Bretonnier jest raniony. I w istocie też spuścił się niezadługo kosz z naszym walecznym kapitanem, który niezważając na bole, zawołał: „Cześć wam moi przyjaciele! Osada „Wrocławia» okryła się chwałą! Z pięciu fregat któreśmy zwalczyć mieli, jeszcze tylko dwie pozostało. Zmusiliśmy okręt turecki do zaprzestania ognia, ocaliliśmy admirała rosyjskiego. Tylko tak dalej, koledzy, daléj!» — Te słowa natchnęły nas nowym zapałem. „Pomścijmy naszego kapitana!» zawołano jednogłośnie, a mimo jęku ranionych i konających, mimo iż co chwila jednego z nas ubywało, utrzymywaliśmy ogień nieustanny.

„Chłopcy! Strzélajcie równo po wodzie!» ozwał się Benard. „Ten bisurmanin stracił już maszt główny, jeszcze ze 20 kul w niego, a będzie dość miał w swym brzuchu!»

Nim jeszcze tego domówił, aliści jakiś okropny bałuch huku i straszny trzask rozległ się od fregaty i cała fregata, do której właśnieco strzelać miano, otoczyła się ogromnym, białym, gęstym, w dole wązkim a górą w kształt sklepienia rozszérzającym się słupem dymu; a gdy wreszcie dym cokolwiek zponad wody się podniósł, ujrzeliśmy jeszcze tylko część tylną okrętu, gorejącą śród morza jasnym płomieniem. — Kapitan tureckiego okrętu sam się wysadził w powietrze.

„To pies!» krzyknął Benard. »Zdecha, a jeszcze kąsa! Strzeżcie się przed drzazgami i szczętami lecącemi z góry! Wolałbym był należyty ładunek kilkunastu trzydziestoszéściufuntówek, niż taką zdradę!»

Coraz częstsze spuszczanie kosza z ranionymi, i mnóstwo wybuckem fregaty na okręt nasz spadających, gorejących głowni, od których nam wielu ludzi pokaleczonych i zabitych zostało, nazbyt widocznie słuszność Benardowych słów potwierdziły. Co chwila spadały tak gęsto kule na nasz okręt, że majtkom zaledwie oczu stało, aby się wszystkich pocisków ustrzedz mogli.

Była już piąta godzina po południu. Huk armat ucichał zwolna, dym rzedniał, i można było poznać, iż bitwa już ku końcowi się miała. O szóstéj godzinie wszystko zamilkło. Tymczasem i noc nadeszła. Flota turecka zupełnie zniknęła. Turcy schronili się na wybrzeża, i spalili swoje handlowe okręty. Dozwolono nieco wypocząć żołnierzom, i zajęto się rozdawaniem posiłków. Tylko oficerom wolno było ze swoich stanowisk wyjść na pokład. Staliśmy długo w milczeniu patrząc się jedni na drugich śród uczuć, których niepodobna opisać. Gdy pierwszy czas radości ominął, obejrzeliśmy nasz okręt. Cóż za różnica między jego teraźniejszym a wczorajszym stanem. Wszystko było połamane, porwane, pogruchotane, podziurawione i szlachetną krwią zbryzgane! A jakaż była noc nasza! Co chwila pękały w płomieniach ostatki nieprzyjacielskich, bez steru po morzu tułających się okrętów, które swoim pożarem i nas zająć groziły. Pozapalano latarnie we wszystkich dolnych częściach okrętów, a wszyscy puszkarze musieli aż do świtu przy armatach pozostać, gdyż mniemano, że Turcy swojémi odwodowémi okrętami, które jeszcze żadnego udziału w bitwie nie miały, nanowo walkę rozpocząć zechcą — do czego jednak nie przyszło.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* **T. W. Kochańskiego** wyszedł nr. 20ty i zawiéra: 1) Sposób polepszenia wszelkiego torfu surowego, wynaleziony przez Kunzego. 2) O gospodarstwie stawowém. (Przez wydawcę.) 3) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją **Tomasza Kulczyckiego**, wyszedł nr. 11ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Laura i doktor Howe. 2) Ferdinando Eboli. Dokończ. 3) Nowości literackie.

Z Warszawy: *Biblijoteka warszawska* na miesiąc maj zawiéra: 1) Panowanie Konstantyna Wielkiego, wyjątek z tomu IIIgo Historyi Rzymskiéj Jana Szwajnica. 2) Życie i systemat Jana Chrzciciela Vico. Przekład z Micheleta. 3) Pamiętniki szlachcica z czasów Jana Sobieskiego, przez A. A. Kosińskiego. Ciąg dalszy. 4) Zkąd pochodzą zmiany temperatury? przez Al. Tolwińskiego. 5) Oratoryjum kościelne męki Pana

Naszego J. Chr., ułożone z muzyką J. Elsnera, przez K. Milewskiego. 6) Rozmaitości — kronika literacka — zagraniczna — biblijograficzna. Doniesienia literackie. Dostrzeżenia meteorologiczne.

Pamiętne słowa króla pruskiego. Podług doniesień pism niemieckich wyrzekł teraźniejszy król pruski następne słowa do pewnego francuzkiego uczonego, który w celu zwidzenia więzień w Prusiech po kraju podróżował: »Ogłoś pan śmiało wszystko, coś w państwie mojém widział. Nie pochlebiaj, lecz wynurz szczérą, zupełną prawdę i wytknij otwarcie wszelkie usterki, gdyż pragnę mocno, aby im koniec położyć. Zdanie pańskie o berlińskiém więzieniu, zwaném »Ochsenkopf«, głęboko mię zasmuciło, i możesz pan liczyć na to, iż wszelkich starań dołożę, aby zapobiédz nadal temu złemu, o którém dotąd wcale nic nie wiedziałem.« — W ten sposób sam król do publicystyki wzywa.

Wybawca z płomieni. Tak nazywa się wynaleziona niedawno do ratowania ludzi z ognia machina, z którą témi czasy próbę w Londynie przedsięwzięto. W tym celu przymocowano tęż machinę u jednego z wyższych piąter kawiarni Guildhall, i napełniono kawiarnię ludźmi o północy, aby można się było przekonać, w jak krótkim czasie, przy wybuchłym nagle pożarze, tak wielka ilość ludzi ocaloną być może. Cały aparat jest bardzo pojedyńczy i składa się z dużego pomostu, nakształt balkonu, opatrzonego samodzielną sprężyną. W razie ognia przymocowuje się taż machina do budynku, a znajdujący się wewnątrz domu ludzie, nie potrzebują nic więcéj czynić, jak tylko otworzyć okno i wleźć do tego balkonu, który natychmiast sam się spuszcza, a po ich wysadzeniu na ziemię, znowuż własną siłą w górę się wznosi, aby i resztę osób zabrać, i równym ocalić je sposobem.

Drzewo upasowe. Angielski podróżnik Davidson podaje nam w swojém najnowszém dziele niektóre ciekawe szczegóły o drzewie upasowém na wyspie Jawa, o którém dotąd tyle bajek krążyło: »Są w istocie« — mówi p. Davidson — »drzewa nazywające się Upas na wyspie Java. Wszakże wszelkie powieści, jakoby ono powietrze na kilkaset kroków wokoło zatruwało, jakoby ptak żaden do niego zbliżyć się nie śmiał, jakoby w cieniu jego gałęzi wszelka roślinność niszczéć miała, a nawet ludzie za zbliżeniem się ku niemu ginęli, są zupełnie kłamliwe i niedorzeczne. Dla przekonania siebie i drugich wylazł mój przyjaciel na jedno z takich drzew upasowych, i bawił tam przez dwie godziny, paląc cygaro i zajadając śniadanie. Istotną jest prawdą, iż te drzewa truciznę w sobie mają, którą krajowcy zeń wydobyć umią i żelezca swoich lanc i sztyletów nią zapuszczają. Zadane taką bronią rany są śmiertelne. I ztądto, jak wnoszę, wyszły owe niezliczone bajeczne podania o drzewie Upas, które sobie od wieku do wieku, od pokolenia do pokolenia powtarzano.

Automat śpiewający. Dzienniki nowojorskie donoszą o przywiezionym tam z Wiednia automacie, mówiącym po angielsku, jednak »cokolwiek niemieckim akcentem.« Machina ta wymawia nazwy wszystkich Stanów Zjednoczonych, jak np. Mississippi, Alabama, Virginia, i to tak wyraźnie i głośno, iż ją w całej sali słyszeć można; tudzież nazwiska najznakomitszych miast europejskich. Słowo Filadelfia wymówiła tak dokładnie, jak człowiek. Następnie zaśpiewała piosnkę z towarzyszeniem fortepijanu. Kilka następów melodyi były w zadziwiający sposób oddane, jakoż w ogólności całe naśladowanie głosu ludzkiego, zdumieniem przejmowało. Naśladuje ta machina nie tylko pełne głosy mowy ludzkiéj, lecz nawet cichsze, aż do szeptu.

Niezaletna strona klubów. »Kobiéty w Anglii« — mówi Venedey — »użalają się bardzo na życie mężów w klubach. Jestto rzeczą bardzo naturalną, bo jakże zdoła mąż znaleźć upodobanie w życiu domowém, gdy przyzwyczaiwszy się do blasku i wystawy, jakie panują w klubach, zastanie u siebie zamiast pałacowéj świetności, ubogą strzechę, zamiast tłumu wystrojonych lokai, brudnego, posługującego kopciuszka. Kluby są niezawodnie najboleśniejszą chorobą, rakiem starodawnego rodzinnego życia Anglików, i tego co oni *home* nazywają. Jeszcze bardziéj okazują się te kluby szkodliwémi z tego powodu, iż one młodych ludzi średniego stanu zupełnie prawie od żenienia się odwodzą. W swoim klubie może każdy młody człowiek żyć najwygodniéj i najwytworniéj, może tam niejako »być pyszno u siebie«, chociaż jego własne mieszkanie kilka tylko złotych na tydzień go kosztuje. Nasz wiek chorzeje już i tak na upstrzoną nędzę, na pozłacane ubóstwo. Témi samémi pieniędzmi, jakie się tu za najem pożyczanego blasku płaci, możnaby własne skromne gospodarstwo znacznie zasilić. Ale dla tych, którzy raz do téj świetnéj powierzchowności nawykną, nie ma już skromnego pożycia domowego, nie ma już, że tak powiemy, całéj wewnętrznéj strony życia. Te kluby są bardzo ważnym skutkiem tego wiekowego ducha stowarzyszenia. Lecz właśnie to, iż one tylko jednéj części społeczeństwa z uszczérbkiem drugiéj służą, stanowi ich szkodliwość. Gdyby zaś niektóre ich korzyści z korzyściami pożycia domowego połączyć się dały, natenczas możnaby się nadzwyczajnie dobroczynnych skutków spodziéwać. I dla czegoż nie miałyby się utworzyć kluby dla całych rodzin? kluby, będące także na pozór pałacami dla wszelkich potrzeb ogólnych, dla życia zewnętrznego, a mające przytém osobne tajne komórki i kryjówki dla potrzeb szczególnych, dla życia wewnętrznego, rodzinnego? Dla ludzi nieżonatych są kluby nieoszacowaną wygodą; témsamém byłyby one także dla całych rodzin. W obecnym stanie wywiérają one wpływ najszkodliwszy, niszczą wszelkie węzły rodzinne, i psują człowieka.«

Kobiéta z gminu. Flora Tristan opowiada w swojém dziele »*Union Ouvrière*« następny wypadek, świadczący o nadzwyczajnéj sile namiętności w niższych stanach ludu. Pomiędzy przekupkami jarzyny w Bordeaux była jedna, któréj wszystkie inne, dla jéj bezwstydu, niepohamowanéj złości i grubijaństwa, nadzwyczajnie się bały. Mąż jéj był wymiataczem ulic. Jednego wieczora powraca on do domu i nie zastaje gotowéj jeszcze wieczerzy. Ztąd wszczyna się kłótnia między mężem a żoną. Od poswarków przychodzi do bójki, w któréj mąż żonę w twarz uderza. Przekupka, uniesiona wściekłą złością, rzuca się z nożem na męża, i na śmierć go przebija. Mąż skonał natychmiast, żonę zaprowadzają do więzienia. Jednakże po krótkiéj chwili, widok nieżywego męża przejął przekupkę takim żalem, iż wszyscy obecni, pomimo jawności zbrodni, najżywszą litość nad jéj stanem mieli. Było rzeczą oczywistą, iż mord w gwałtownem uniesieniu, bez poprzedniego namysłu popełnionym został, a że nieszczęśliwa zabójczyni tak dalece w swoim żalu i bolu niemiarkowaną była, iż to jéj życiu groziło, a przytém jeszcze czteromiesięczne dziécię przy piersiach miała; tedy sędzia instrukcyjny dla jéj

uspokojenia, tém ją pocieszał, iż zapewne za niewinną uznana będzie. Ale jakże się wszyscy obecni zdziwili, gdy nieszczęśliwa słysząc to zawołała: »Co? Ja niewinną! A jużby żadnej sprawiedliwości na świecie nie było!« — Starano się jéj dowieść, iż nie jest zbrodniarką, ponieważ nie miała zamiaru popełnienia zabójstwa. »Ach, cóż zależy na zamiarze,« — odpowiedziała — »jeżelim już jest tak dziką, że w uniesieniu męża lub dziecię zabić gotowam! Ja sama to czuję, że jestem istotą niebezpieczną, niegodną żyć w społeczeństwie?« — Nakoniec, będąc już pewną, iż zostanie od kary śmierci uwolnioną, powzięła ta prosta bez wszelkiego wychowania kobiéta zamysł, godny dawnego Rzymianina z pierwszych czasów rzeczypospolitej. Oświadczyła stanowczo, iż chce się sama ukarać, że się głodem umorzy. I z jakąż mocą, z jaką godnością nie dopełniła tego wyroku! Jej matka, jéj dzieci z płaczem ją zaklinały, aby się dla rodziny zachowała. Ona zaś oddając swoje niemowlę matce, rzekła: »Naucz moje dzieci błogosławić niebu, iż utracą taką matkę!« — Sędziowie, księża i wiele osób z miasta, nalegało na nią usilnémi prośbami, aby zaniechała postanowienia, lecz nadaremnie. Doświadczono więc jeszcze jednego sposobu i przyniesiono jéj ciast, owoców, mléka, wina, mięsa, a nawet świéżo upieczonych kurcząt, myśląc iż zapach do jedzenia ją znęci. »Wszystko, co tu robicie,« — odpowiadała oziębłe i z godnością — »na nic się nie przyda. Kobiéta która zabiła męża i ojca siedmiorga dzieci, powinna umrzéć!« Jakoż w samej rzeczy wyciérpiała najokropniejsze męczarnie bez wszelkiego użalania się, a dnia siódmego — umarła.

Dla miłośników wina. Biédna chora Europa może się nowego pokrzepienia spodziewać: Johanisberger stanieje. Sławny chemik Liebig wynalazł sztuczny nawóz, przezco sprowadzone z Johanisberberga odrośle szczepów winnych, wszędzie najsmakowniejsze wino Johanisberskie wydać mogą.

Ciekawą osobliwością topograficzną jest zamek Herdervar w Węgrzech, leżący w trzech różnych komitatach; jedna wieża wznosi się w komitacie wiselburskim, druga w preszburskim a trzecia w rabskim. Czwarty róg zamku pozostawiony jest umyślnie bez wieży. Podobnież znajduje się także na granicy wesprimskiego i saladzkiego komitatów karczma w Almud, któréj jedna połowa do jednego, druga do drugiego komitatu należy. W ogólności jest w Węgrzech 12 wsi, 4 szlacheckich osad i 2 miasteczka, które w różnych leżą komitatach.

Szabla honorowa dla Abd el Kadera. Z Berlina donoszą, iż pruskim oficerom husarskim od gwardyi przyszło na myśl ogłosić powszechną składkę na szablę honorową dla Abd-el-Kadera, jako odwetową demonstracyję przeciw francuzkiej subskrypcyi narodowéj dla Polaków.

Powstanie artystów dramatycznych. Aktorowie w Gdańsku zbuntowali się publicznie przeciw krytyce. Jedynie najlepsi nie mieli udziału w rokoszu. Publiczność zdumiewa się nad tém ważném zdarzeniem i ciekawie wygląda końca. Nie jest on zbyt trudny do odgadnienia.

Georginije czyli Dalije pochodzą z wyżyn meksykańskich, gdzie w równym gruncie piaszczystym dziko rosną. W r. 1789 nadesłał Vincente Cervantes, profesor i dyrektor ogrodu botanicznego w Meksyku, trzy gatunki tego kwiatu księdzu Józefowi Cavanilles, który był podówczas przełożonym zakładu botanicznego w Madrycie. Tamto zakwitła georginija po raz pierwszy w r. 1790. Margrabina Bute sprowadziła tę roślinę w r. 1798 z Hiszpanii do Anglii. W r. 1804 przybyły georginije staraniem A. Humboldta do Niemiec. Daliją nazwano ten kwiat na cześć botanika szweckiego Dahl, a georginiją, po imieniu króla angielskiego Jérzego.

Precz z cygarami! Fajki górą! Takie jest powszechne hasło całego modnego, kurzącego świata w Paryżu. Wszystko rzuca się do fajek, ponieważ to mniej kosztuje i oczom nie tyle szkodzi, a w ogólności daleko więcéj zdrowiu służy.

Kazania przedsenne. Tak nazywają się za granicą napomnienia, jakie niektóre małżonki swoim mężom wieczorem za całodzienne ich sprawowanie dawać zwykły. Napisano nawet wyborne dzieło angielskie pod nazwą »Kazania przedsenne pani Caudle« — zkąd niektóre pisma czasowe bardzo ciekawe wyjątki podają. — Zmarły Luneburski księgarz Herold opowiadał o sobie, iż dla pokrzepienia cierpliwości, zwykł był cowieczorne kazania swojéj żony tłumaczyć w myśli na język francuzki, a jeżli one nieraz zanadto dobitne były, tedy tłumaczył je sobie na język łaciński, przezco więcej trudności w tłumaczeniu miewał. »Tym sposobem« — mawiał on — »nie zapalałem się do gniewu i zabawiałem się razem.«

Los osobliwszy. »Dziwny los potomków Izraela!« mówi dziennik »*Constitutionnel*« przy doniesieniu o ukazie, zabraniającym rosyjskim i polskim Żydom od roku 1850 odrębnego stroju narodowego. »Dziwnyto los zaiste! W średnich wiekach zmuszano Żydów we wszystkich prawie państwach europejskich do noszenia odróżniającego ich stroju, teraz, gdy oni sami do tego stroju nawykli, srodze im go wzbraniają!«

W braku pacyjentów wpadł niejaki dr. B. w Paryżu na myśl ogłaszania się publiczności osobliwszym sposobem. Kazał sobie całą swoją bijografiję, z dokładną wiadomością gdzie do szkół chodził, z kim i którędy podróżował, ile już chorób wyleczył i t. d. na dużym arkuszu wydrukować, i ten autentyczny dokument po wszystkich rogach ulicznych poprzylepiać.— Szukaj a znajdziesz; nadstaw się, to cię znajdą.

Pewien mieszczanin miał trzy dorosłe córki, które już dostatecznie do stanu małżeńskiego dojrzałe były, a ponieważ o każdą ktoś już się starał, tedy byłoto na szczęście dość łatwą rzeczą; tylko nie wiedział ojciec, którą z nich trzech wprzódy wydać i wyposażyć. Otóż wezwał wszystkie trzy do siebie i rzekł im: »Słuchajcie, moje kochane; podam wam wszystkim wodę na mydnicy, a wy sobie w niéj ręce umyjecie, lecz nie ocierajcie rąk ręcznikiem, tylko czekajcie, któréj ręce same najpierwéj wyschną, a tę ja najsamprzód za mąż wydam.« Jakoż uczyniły co rozkazał. Wszystkie siostry umyły sobie ręce i zaczęły suszyć je na powietrzu. Ale podczas kiedy dwie starsze spokojnie acz niecierpliwie każdéj wysychającej kropli się przypatrywały, najmłodsza, udając że nie stoi o męża, machała wciąż rękoma, wołając: »Nie chcę męża! Nie potrzebuję męża!« — a przezto jéj najpierwéj ręce oschły, i najpierwéj téż za mąż poszła — a dwie starsze musiały czekać.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.